DZIENNIK PODRÓŻY

„MIĘDZY AMU-DARIĄ A SYR-DARIĄ”

UZBEKISTAN 2021

Kierownik wyprawy naukowej:

dr hab. inż. Piotr Kacorzyk, prof. URK z Uniwersytetu Rolniczego im. Hugona Kołłątaja w Krakowie

Opiekun:

dr hab. Svetlana Ivanova z Północno – Wschodniego Federalnego Uniwersytetu im. M.K. Ammosova w Jakucku

Uczestnicy:

Uniwersytet Rolniczy im. H. Kołłątaja w Krakowie

Daria Jadwisieńczak – Wydział Leśny
Natalia Juszczak - Wydział Leśny
Arkadiusz Sadecki – Wydział Leśny
Natalia Komorowska – Wydział Hodowli i Biologii Zwierząt

Sympatyk Koła:

Łukasz Kuźniar

Dzień 1. – 8.08.2021 (niedziela)

Wszystko zaczęło się od Krakowa. To właśnie tam grupa sześciu śmiałków stawiła się o 4^{00} na miejsce zbiórki na dworcu PKP, by wyruszyć w pełną trudów podróż do spalonego słońcem Uzbekistanu. Pierwszy etap podróży przebiegł szybko i bez większych problemów – PKP Intercity spisało się na medal, dzięki czemu już po około trzech godzinach znaleźliśmy się na dworcu w Warszawie Zachodniej. Podczas tego stosunkowo krótkiego odcinka naszej drogi mieliśmy okazję oglądać wschód słońca (choć większość go raczej przespała). Pogoda jednak okazała się być dość kapryśna i słońce już po chwili schowało się za grubą warstwą deszczowych chmur. Na szczęście nasze humory były zgoła odmienne i szczęśliwi (choć zaspani) kontynuowaliśmy naszą podróż, wsiadając do pociągu przyjeżdżającego prosto na lotnisko Chopina.

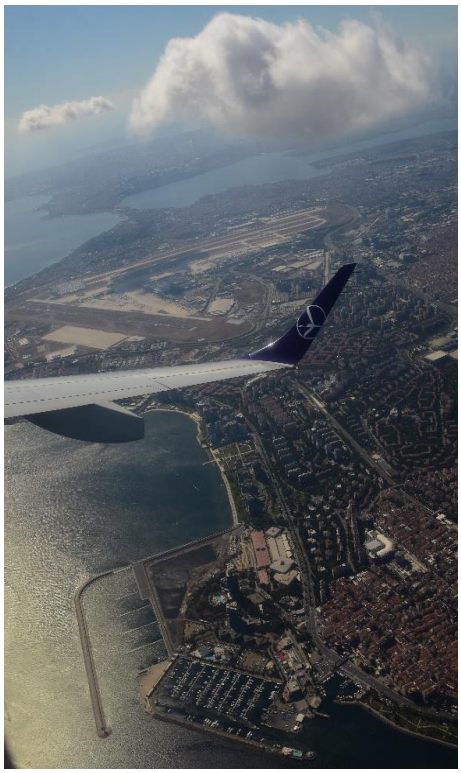

Turcja z lotu ptaka (fot. NK)

Lotnisko jak lotnisko – nic specjalnego, ale to właśnie tam mieliśmy spędzić najbliższe 5 godzin, więc trzeba było jakoś zaprzyjaźnić się z nim. Na początek oczywiście standardowe procedury przed lotem – nadawanie bagaży, odprawa, kontrola celna, kontrola graniczna, a potem czekanie, czekanie i czekanie… Niektórzy postanowili skorzystać z okazji i udać się na drzemkę, inni przemierzali dostępne przed lotem przestwory lotniska, oglądając startujące samoloty. Panowało ogólne zniecierpliwienie okraszone nutką podekscytowania. W końcu nasze oczekiwanie opłaciło się i już około 13^{00} siedzieliśmy w dość małym, jak na standardy linii, samolocie LOT. Szczęśliwie tak się udało, że wszyscy mieliśmy miejsca obok siebie. Po wysłuchaniu komunikatów o bezpieczeństwie poczuliśmy, że samolot zaczął kołować. To właśnie wtedy rozpoczęła się właściwa część naszej podróży – wylatywaliśmy z Polski, a więc… ahoj przygodo!

Lotnisko w Stambule (fot. NK)

Start samolotu był dość mocno odczuwalny z powodu jego niewielkich gabarytów, ale cały lot minął spokojnie i bez przygód. Przed lądowaniem mieliśmy okazję podziwiać Turcję z góry - było to naprawdę coś pięknego. Niekończące się rzędy budynków – małych i dużych, ułożonych blisko i równo względem siebie, wielkie mariny, drogi ekspresowe z sunącymi po nich autami – wszystko wydawało się być zabawkami, poruszanymi przez jakąś tajemną moc i rozsianymi przypadkowo po świecie. Tak naprawdę dopiero wzbijając się w powietrze, można dostrzec jak mały jest świat stworzony przez człowieka. Samolot stopniowo zniżał lot – budynki, drogi, a nawet krowy – wszystko stało się wyraźniejsze i bardziej rozpoznawalne. Samo lądowanie troszkę się odczuwało, bo samolot nie należał do największych. Znaleźliśmy się w sercu Turcji – Stambule – największym i najludniejszym mieście tego kraju.

Faktycznie, lotnisko było ogromne. Aby dostać się do miejsca, w którym mieliśmy oczekiwać na lot do Taszkentu, musieliśmy przemierzyć niekończące się ciągi korytarzy, ruchomych taśm i schodów. W końcu udało się! Jeszcze tylko odprawa z dość nerwowym Turkiem i byliśmy o krok od wejścia na pokład luksusowego samolotu Turkish Airlines. Firma naprawdę postarała się o wszystko – dostaliśmy słuchawki, kocyk (który wbrew pozorom okazał się faktycznie przydatny) oraz ciepły posiłek (do wyboru makaron lub mięsko), który był bardzo dobry, szczególnie dla nas, nieco wygłodniałych. Lot przebiegł bez turbulencji, choć w pewnym momencie przelatywaliśmy blisko burzy. Mogliśmy podziwiać błyskawice rozświetlające czarne chmury. Później świat otulił mrok. Gdy w samolocie zgasły światła, dobrze widoczne stały się gwiazdy, a wśród nich Wielki Wóz. Niedługo przed lądowaniem w Uzbekistanie naszym oczom ukazały się małe wioski świateł – gdzieś tam w dole toczyło się nocne życie. Samolot gładko wylądował na lotnisku w Taszkencie po 1^{00} w nocy czasu miejscowego. Takim oto sposobem dotarliśmy do państwa, które było celem naszej podróży.

Natalia Komorowska

Dzień 2. – 09.08.2021 (poniedziałek)

Po wylądowaniu czekała nas długa odprawa celna – chyba jeszcze nigdy tak długo nie czekałam na pieczątkę, nawet dwie. Bo zanim zdobyliśmy kropelki kolorowego uzbekistańskiego tuszu w naszych paszportach, musieliśmy się tłoczyć w gromadzie ludzi po pieczątkę na kartce odnośnie wykonywanego testu PCR (uroki podróży w trakcie pandemii), którego, mieliśmy wrażenie, i tak nikt nie czytał ani nie weryfikował. Profesor Kacorzyk zebrał więc wszystkie nasze testy i sam przepychał się do otwartego okienka, w którym pan czysto mechanicznie podnosił i opuszczał stempel nad kolejnymi kartkami. Gdy już się nam to udało, mogliśmy się udać przed kolejne okienka i stać w kolejnej kolejce – tym razem w tej w kierunku pracowników straży granicznej. Wszystko to toczyło się naprawdę ślimaczym tempem, a my byliśmy solidnie zmęczeni. Ale po około godzinie spędzonej jeszcze na lotnisku wydostaliśmy się na zewnątrz, chłonąc gwar taksówkarzy, ludzi witających swoich bliskich, światła i przyjemne, ciepłe podmuchy wiatru. Tu też czekała na nas Profesor Svetlana, która była naszym towarzyszem w tej podróży i jakże nieocenioną pomocą, nie tylko językową. Początkowo mieliśmy czekać na pociąg, który zawiezie nas do Samarkandy oddalonej o blisko 300 km. Po dyskusji opiekunów z kilkoma taksówkarzami uznaliśmy, że zmęczenie i niewielka różnica pieniędzy pomiędzy samochodem a pociągiem przeważają nad opcją transportu drogowego i to właśnie ten wybraliśmy na pierwsze kilometry spędzone w Uzbekistanie. Zdążyliśmy jeszcze zrobić pamiątkowe, pierwsze zdjęcie przed lotniskiem (zdjęcie z okładki dziennika 😉), zapakowaliśmy plecaki i ruszyliśmy białym mercedesem.

Całkiem niewiele pamiętam z tej nocnej podróży. W spaniu nie przeszkadzały mi nawet wyboje, które były chyba gorsze niż na naszych polskich drogach, ale niesamowicie mnie cieszyły, nie wiem dlaczego, może przez ekscytację wywołaną odkrywaniem nowych miejsc, tak przecież nieznanych, bo kto wybiera się zwiedzać Uzbekistan? Nad ranem zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, skąd mogliśmy przez chwilę podziwiać wschód słońca, góry. Natalia łapała w swoim obiektywie ptaki, inni rozprostowywali nogi, przeciągali się po drzemkach w samochodzie i łapali pierwsze promienie.

Nad ranem zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, skąd mogliśmy przez chwilę podziwiać wschód słońca, góry... (fot. DJ)

Nie wiedzieć czemu zachwyciły mnie te pierwsze chwile dnia, coś magicznego kryje się za sypiącymi się budynkami, nieuporządkowanymi alejkami, ogrodami, tymi innymi od naszych domami – nowość, chyba tak to trzeba nazwać. I chęć jej poznania. Samarkanda na pierwszy rzut oka, gdy już do niej dotarliśmy, wydawała się naprawdę dużym miastem. Szerokie ulice, mnóstwo budynków, białych samochodów i ludzi, a to właśnie oni przykuwali moją największą uwagę podczas całej ekspedycji. Mimo innego życia, kultury, obyczajów, zdawać by się mogło, że też mniejszej ilości pieniędzy, na pierwszy rzut oka wydawali się radośni i szczęśliwi. Kolorowe chusty kobiet mieniły się w porannym słońcu tak samo jak sprzedające się ich świeże owoce i warzywa. Dzieciaki biegające, czasem boso, po chłodnej wodzie, która podlewała trawniki. Mężczyźni pakujący arbuzy na wozy, osły i na paki samochodów. Zachwyt...

Skręt w prawo. Hostel Registan. To tu odpoczniemy przed zwiedzaniem, którego nie mogę się doczekać. Kwaterujemy się, wybieramy łóżka, następnie upragniony prysznic i sen. Trwało to tak do około godziny 15^{00} uzbeckiego czasu. Między naszą polską strefą czasową a uzbecką są trzy godziny różnicy. Wstaliśmy więc, zjedliśmy co mieliśmy w plecakach i wyszliśmy szukać kantoru. Okazało się to trudniejsze niż myśleliśmy, większość miejsc było zamkniętych albo nie wiedzieli, o co nam chodzi. Ale trochę popytaliśmy i skierowano nas

Nasze pierwsze miliony (fot. DJ)

do Banku Centralnego, tu wskazano nam drogę do potencjalnie otwartego miejsca, idziemy i nagle – wszyscy stajemy się milionerami!

Waluta uzbecka jest nieźle pokręcona i nie dziwi mnie fakt braku portfeli. Gdyby to zmieścić do jednego, musiałby być naprawdę ogromny. Jeden uzbecki sum to około 0,00037 polskiego złotego. Banknoty zaczynają się od 1000, a kończą na 100000. Sumy wprowadzono na miejsce rubli w 1994 roku, więc stosunkowo niedawno. Ciekawy jest fakt, że naprawdę mało osób korzysta z monet.

Radośni milionerzy ruszają na podbój Samarkandy. Naszym celem jest mauzoleum Timura, Gur-i-Mir. Po drodze zatrzymaliśmy się pod jego monumentem. Timura uznaje się za jednego z największych imperatorów obok Aleksandra Macedońskiego czy Czyngis-Chana. Timur, podczas swojego 36-letniego panowania, znacznie rozbudował Samarkandę, za co mieszkańcy bardzo go cenią. Ten pomnik jest naprawdę ogromny. Podczas robienia zdjęć zatrzymaliśmy dwóch chłopaków, żeby zrobili nam wspólne zdjęcie. Okazało się, że oni z nami też chcieliby sobie zrobić – i tak już później bywało, czasem to my byliśmy atrakcją turystyczną.

Mauzoleum widać już z oddali, niebieska kopuła błyszczy w słońcu. Przechodzimy przez park, schodzimy w dół po kilku schodkach, kupujemy bilet wstępu (25 000 UZS, czyli jakieś 10 PLN). Jeszcze zanim wejdziemy, zachwycamy się pięknymi mozaikami, kolorami i kunsztem wykonania każdego centymetra.

Trudno nie zachwycić się! (fot. DJ)

Przy bramie czekał na nas starszy pan, który od początku opowiadał nam ciekawostki o Timurze, powstawaniu mauzoleum i klątwie jego grobu, pełniąc funkcję naszego przewodnika. Cała budowla wraz z jej historią wywarła na nas duże wrażenie.

Grób Timura – złoto, wielka dokładność w kunszcie odpowiadają wielkości czci oddawanej władcy (fot. DJ)

Po zakończonym tourze zapłaciliśmy po 5 000 UZS domniemanemu przewodnikowi i zeszliśmy w dół, do jakby piwnicy, gdzie mogliśmy kupić pamiątki. Niestety, o mały włos nie dostaliśmy oczopląsu. Niewielki sklepik z pamiątkami mieścił tyle rzeczy, że nie sposób było ich zliczyć. Chusty, magnesy ze skóry wielbłąda, szkatułki, biżuteria, naczynia, nawet odznaki jeszcze z czasów ZSSR. Chyba każdy kupił coś, co w Polsce podaruje bliskim. Poza tym, jak nie kupować takich pięknych rzeczy? Wyszliśmy z placu mauzoleum i zaczęliśmy kierować się w stronę centrum, czyli placu Registan.

Registan to serce miasta starożytnej Samarkandy, ale jak się okazuje, także tej współczesnej. Gdy przybyliśmy na miejsce, był już zmierzch, a sam plac zaskoczył nas barwnymi iluminacjami. Kilkanaście kolorów zmieniających się w rytm muzyki, balony i inne latające zabawki nad głowami, wata cukrowa, orzeszki, dzieciaki na rowerach i hulajnogach, mini-ciuchcie, drezyny. Jak na festiwalu, a okazuje się, że na Registanie jest tak codziennie. Spotkaliśmy nawet tamtejszą nauczycielkę języka angielskiego – ta nasza polskość musi rzucać się w oczy. Porozmawialiśmy chwilę i zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie. Wcześniej, zanim tu dotarliśmy, poszliśmy na spacer alejkami w parku obok. Zobaczyliśmy wielki pomnik człowieka, a jak widzimy wielki pomnik człowieka w krajach byłego Związku Radzieckiego, myślimy – Lenin! Okazało się jednak, że to nie ów Towarzysz, a Isłam Karimow, pierwszy prezydent niepodległego Uzbekistanu. Dobrze prezentuje się na tle zachodzącego słońca.

Po lewej: *Isłam Karimow - dobrze prezentuje się na tle zachodzącego słońca*
Po prawej: *Ogrom meczetu Bibi-Chanum (fot. DJ)*

Zdecydowaliśmy, że poszukamy bazaru, samarkandzkiego przedstawiciela miejsc tak żywych i ciekawych w tej części świata. Niestety, był już zamknięty. Korzystając z okazji, że obok znajduje się meczet Bibi-Chanum, odwiedziliśmy tę świątynię. Jest to największy i najbardziej charakterystyczny meczet w tym mieście. Wejście kosztowało nas 25 000 UZS. Budowla ta powstała z inicjatywy Timura na cześć jego ukochanej żony, Bibi. Konstrukcja jednak zaczęła się rozpadać i dopiero bolszewicy zrekonstruowali ten meczet. Na środku placu stoi wielka księga Koranu, a legenda głosi, że gdy kobieta przejdzie pod stołem, na którym leży, będzie mieć dużo dzieci. Cóż, nikt nie spróbował. Siedząc i delektując się ciepłem i ciszą, czytam odrobinę historii z tego miejsca w swoim przewodniku.

Ogromny Koran (fot. DJ)

Wracając, po prawej stronie zobaczyliśmy restaurację, a że byliśmy głodni i ciekawi nowych smaków, weszliśmy do środka, na ogródek/patio. Wybieramy stolik, czytamy karty, a raczej oglądamy obrazki. Mieliśmy ochotę na plov – tradycyjne uzbeckie danie, ale na nasze nieszczęście skończył się. Miejsce to nazywa się Czajkownia Bibi-Khanum i możemy je serdecznie polecić!

Uzbeckie smakołyki (fot. DJ)

Najedzeni dotarliśmy do Registanu na opisany już festiwal kolorów. Zaraz po nim udaliśmy się do hostelu, który był całkiem niedaleko, bo jakieś 300-400 m.

Kolorowy Registan (fot. DJ)

Po drodze kupiliśmy piwo w sklepie naprzeciwko, żeby symbolicznie wznieść toast za wyprawę. Potem prysznic i do łóżek, jeszcze sporo przed nami przygód, kolorowych mozaik, pysznego jedzenia i ciepłego słońca w Uzbekistanie.

Daria Jadwisieńczak

Dzień 3. – 10.08.2021 (wtorek)

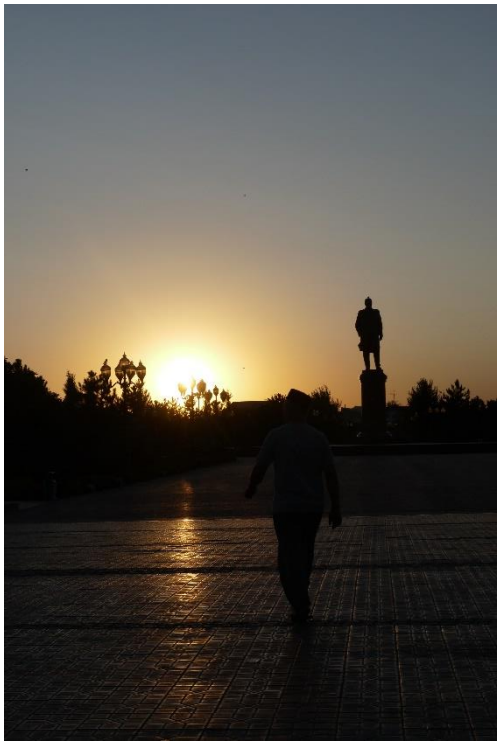

Pomnik Kirova o wschodzie słońca (fot. NJ)

Razem z Darią i Natalią K. rozpoczęłyśmy ten dzień troszkę wcześniej niż reszta, ponieważ postanowiłyśmy wstać na wschód słońca i obejrzeć go z Registanu. Miał być o 5^{40}, więc wstałyśmy jakoś po piątej. Zaskoczył nas chłód na zewnątrz, przy braku ruchu można było nawet nieco zmarznąć. Na placu byłyśmy chwilę przed czasem, ale widok nie zapowiadał się zbyt spektakularnie, dlatego w zasadzie od razu zaczęłyśmy wędrować alejkami. Ponownie byłyśmy przy pomniku Kirova, potem skierowałyśmy się w stronę Bibi Chanum, ale skręciłyśmy znów w ścieżki przyległe do Registanu – liczyłyśmy na to, że od tej strony promienie oświetlą budynek i mogą wyjść ciekawe zdjęcia.

Mimo wczesnej pory, na alejkach nie było pusto. Oprócz osób zmierzających do pracy, widziałyśmy sporo uprawiających poranną gimnastykę. Panowie raczej indywidualnie, ale widziałyśmy też grupę kobiet w średnim wieku, a może i nieco starszym niż średni, które ubrane w swoje codzienne stroje uczestniczyły w czymś w rodzaju zajęć fitness. Było to dla nas sporym zaskoczeniem. W międzyczasie jak spacerowałyśmy nastąpił wyczekiwany wschód, który nie należał do wyjątkowych. Trudno też było zrobić jakieś wspaniałe zdjęcia, ale mimo to, cieszyłyśmy się.

Powoli wracałyśmy z krótkim przystankiem na tarasie widokowym. Natalia wypatrzyła 2 kobuzy, natomiast ją strażnik Registanu. Niewątpliwie wpadła mu w oko, ponieważ pytał czy chciałaby może wejść i pozwiedzać kompleks tych budynków, a do otwarcia było jeszcze parę godzin.

Do hostelu wróciłyśmy ok. 7^{00}. Wkrótce trzeba było zjeść śniadanie (tym razem każdy we własnym zakresie z wykorzystaniem prowiantu z Polski) i przygotować się do wyjścia – umówiliśmy się na 8^{00}.

Udało się wyjść mniej więcej o ustalonej godzinie. Pierwszym punktem zwiedzania tego dnia były budynki na Registanie. Wejście kosztowało 45 000 UZS od osoby. Registan – jak przeczytałam w przewodniku Darii – jest niemal ikonicznym miejscem Uzbekistanu. Na ten

kompleks składają się meczety i 3 medresy. Od 2001 roku, razem z innymi zabytkami Samarkandy, znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. Odwiedziliśmy chyba wszystkie dostępne dla turystów części placu, pomieszczenia. Kiedyś było tu seminarium islamskie, w budynkach znajdują się pokoje akademickie. Niektórzy zrobili zakupy w stoiskach z pamiątkami. Mieliśmy też okazję zobaczyć dwie kobiety tkające dywan (prawdopodobnie jedwabny) – niezwykłe dzieło i niesamowity proces jego tworzenia. Cena również – koszt zakupu jednego z nich to jakieś 3 tys. dolarów amerykańskich, a był w sumie niewielki, bo miał ok. 1 x 0,5 m.

Medresa Uług Bega znajdująca się po stronie zachodniej zespołu architektonicznego Registanu (fot. NJ)

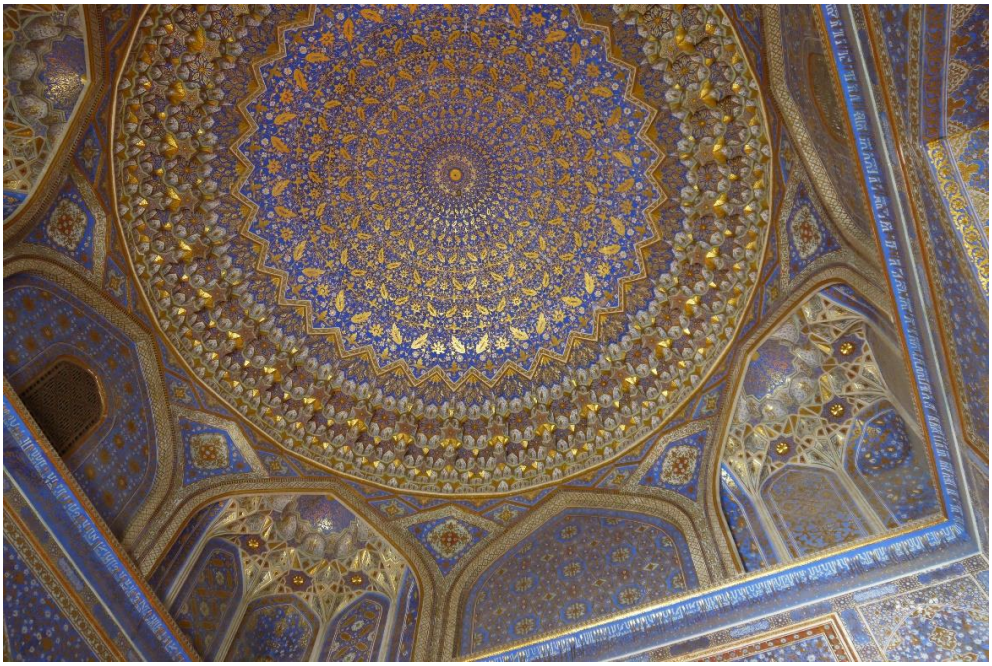

Sklepienie kopuły w medresie Uług Bega (fot. NJ)

Tak powstają słynne dywany! (fot. NJ)

Łukasz schodzący z „zaczarowanej" wieży (fot. NJ)

Na koniec weszliśmy na wieżę (to był chyba jeden z minaretów). Cena to 25 000 UZS. Pan podprowadził nas pod schody, ale potem były już tylko takie kręte, z miejscem dla jednej osoby w sumie i wspinaliśmy się sami. Korzystać z widoku w jednym momencie mógł tylko jeden człowiek i to wystawał zaledwie od pasa w górę. Do tego wszystkiego widok nie powalał. Z trudem wymijaliśmy się tam. Najciekawsze zjawisko dopiero jednak miało nastąpić. Już przy schodzeniu dosłownie każdy z nas czuł tak zwane zakwasy. Było to zdumiewające, ponieważ te schody ani nie były ogromne (choć dość wysokie), ani nie było ich bardzo wiele. Nie rozumieliśmy tego kompletnie. Momentami trudno było zrobić krok.

W dodatku (jak się już później okazało), ból w nogach, a zwłaszcza w udach, w kolejnych dniach nasilił się, a jakaś lekka poprawa (przynajmniej u mnie) pojawiła się dopiero w piątek. Śmialiśmy się, że za wejście zapewne było narzucenie jakiejś klątwy, a że Timur Chromy to i my zaczęliśmy kuleć. Po zakończeniu zwiedzania Registanu podeszliśmy na taras widokowy, gdzie zaczekaliśmy na naszego kierowcę Zafara i już razem z nim ruszyliśmy realizować kolejne punkty dzisiejszego planu dnia.

Zafar był ok. 10^{00}. Naszym celem była oddalona o ok. 100 km od Samarkandy miejscowość Szachrisabz. Zanim tam jednak dotarliśmy to mieliśmy już parę atrakcji po drodze. Zafar zatrzymał się na takim punkcie widokowym, skąd roztaczała się piękna panorama na miasto. Mijaliśmy też słynną skałę z filmu o Indianach „Apachilar", który nagrywano właśnie tam. U ulicznych handlarzy kupiliśmy 2 melony i arbuza, a jeszcze później zatrzymaliśmy się na troszkę większym przydrożnym targowisku. Królowały tam kulki z suszonego mleka (miałam nieprzyjemność skosztować), ale były też różnego rodzaju orzechy, suszone owoce, zioła. Kupiłam trochę migdałów w cukrze oraz fistaszki w miodzie i sezamie. Ciekawie smakowała też suszona morwa oraz ciemne rodzynki. Tu też wydarzył się jeden z hitów wyjazdu – Łukasz (otumaniony jakiś, bo trudno to inaczej wyjaśnić) kupił 2 gruszki za 120 000 UZS! Twierdził, że to dlatego, iż sprzedawało je jakieś dziecko. Naprawdę trudno odnieść się do sytuacji.

Kręta górska droga prowadząca z Samarkandy do Szachrisabz (fot. NJ)

Panorama na miasto rozciągająca się z punktu widokowego (fot. NJ)

Przydrożne targowisko… (fot. NJ)

...a na nim bakaliowe królestwo 😊 (fot. NJ)

Kiedy dotarliśmy do Szachrisabz, było bardzo gorąco. Profesor chciał kupić jakiś napój przy wejściu i spotkaliśmy się z podobną sytuacją, jaką miał Łukasz, ponieważ sprzedający tam chłopak powiedział cenę 100 000 UZS. Nie daliśmy się jednak „wyrolować" i po chwili zeszliśmy już do 20 000 UZS. Często bywa tak, że nam jako turystom spoza Uzbekistanu, przedstawiana jest wyższa cena za produkty/usługi niż standardowa. Niekiedy (oficjalne wejściówki) jest to wypisane w cenniku, ale często po prostu jak się uda handlarzom to tak sprzedadzą coś. My też mogliśmy dokonywać pewnych manewrów, szczególnie przy pomocy kierowcy, który orientował się, co ile może kosztować. Na przykład za wejście na teren rezydencji Timura zapłaciliśmy zaledwie 70 000 UZS za całą grupę. Przeszliśmy chyba cały deptak Ipak Yuli, widzieliśmy pomnik Timura, meczet i inne elementy kompleksu. Główny portal wejściowy miał niegdyś blisko 70 m wysokości, a na dachu był podobno basen… była to

Pomnik Timura w zespole zabytkowym Szachrisabz (fot. NJ)

imponująca budowla i budzi podziw do dziś, choć już tylko z opisów. Obok pomnika zaczepił nas jakiś pan i zaprosił do punktu turystycznego na końcu deptaku. Jak się później okazało – galerii z jego obrazami. Ten człowiek był wykształconym artystą, malował piękne, bardzo rzeczywiste obrazy przedstawiające najczęściej życie wioski uzbeckiej. Przez kilka lat robił też pomniejszony portal wejściowy pałacu, który mieliśmy okazję zobaczyć – również świetna, misterna robota.

Mur otaczający zespół zabytkowy (fot. NJ)

Ruiny portalu wejściowego (fot. NJ)

Życie codzienne ludności na obrazach autorstwa poznanego artysty (fot. NJ)

W drodze powrotnej do Samarkandy zatrzymaliśmy się w takim zajeździe na domową baraninę. Był to dość surowy piętrowy budynek, w sumie bardziej konstrukcja, ale funkcjonowała jako restauracja. Z tego co zauważyliśmy, to prawdopodobnie na miejscu mieli tam rzeźnię, więc mięso na pewno było świeże. Na próbę wzięliśmy po 0,5 kg mięsa dwóch rodzajów. Do tego standardowo chleb, sałatka (pomidor z cebulą), cebula, śmietana z serem, kefir. Wzięliśmy też herbatę, piwo. Różnica między daniami mięsnymi polegała na tym, że jedno było gotowane, a drugie pieczone w przyprawach i dla mnie osobiście smaczniejsze. Najedliśmy się tym na tyle, że już nie domawialiśmy kolejnych porcji. Na trasie zaopatrzyliśmy się jeszcze w pomidory do sałaty i winogrona.

Po powrocie do hostelu odpoczęliśmy trochę, zjedliśmy melona i znów ruszyliśmy na miasto. Chcieliśmy zobaczyć mauzoleum proroka Daniela. Co prawda z mapy wynikało, że w obie strony będzie to ponad 8 km, ale podjęliśmy ryzyko. Przechodziliśmy obok bazaru, który ku naszej uciesze, ale i zdziwieniu, jeszcze funkcjonował o tej porze (było już po 20^{00} na pewno, a niby był otwarty do 19^{00}). Kupiliśmy paprykę, cebulę i zioła do sałaty na śniadanie. Na targu widzieliśmy zabarwione kurczęta, też do sprzedaży. Spotkaliśmy pana, który oferował wymianę waluty. Niektórzy skorzystali. Ogólnie kończyły nam się pieniądze, które wymieniliśmy pierwszego dnia, a on miał kurs Euro lepszy niż w banku (12 000 UZS). Przy okazji powiedział nam, że do mauzoleum nie warto teraz iść, bo jest daleko, a, co ważniejsze, jest taki zwyczaj, że nocą nie chodzi się po cmentarzach, może to zostać źle

odebrane. W tej sytuacji postanowiliśmy iść po prostu przed siebie i po niedługim czasie natrafiliśmy na Szachi- Zinda, czyli aleję mauzoleów na wzgórzu, gdzie spoczywają krewni Timura.

Wzgórze z aleją mauzoleów Szachi- Zinda (fot. NJ)

Obiekt generalnie był zamknięty, ale ładnie oświetlony, a położenie na wzniesieniu pozwalało na spojrzenie z innej perspektywy na miasto. Kiedy usiedliśmy na ławkach w altance z wodą pitną, zauważyliśmy grupę turystów, którzy po rozmowie ze strażnikiem czekali przy wejściu jakby mieli za chwilę zostać wpuszczeni. Czujnie obserwowaliśmy ich i kiedy tylko otworzono im bramkę, podłączyliśmy się do nich. Okazało się, że jest tam jeden z grobów, ale mieliśmy dość ograniczone możliwości ruchu. Można było tylko obejść nagrobek, ewentualnie usiąść na chwilę w pobliżu. Po niedługim czasie strażnicy wyprosili nas. Podejście do innych części było niemożliwe, ponieważ były tam kamery, a nasza obecność – jakby nie było – nielegalna. Nie można też było robić tam zdjęć. Kiedy wyszliśmy, jakaś rodzina chciała sobie zrobić zdjęcie z nami, na co oczywiście przystaliśmy, po czym spacerkiem udaliśmy się do hostelu. Wstąpiliśmy jeszcze po chleb i masło do śniadania.

Udało nam się wejść do tej części za barierkami (fot. NJ)

Wieczorne życie w Samarkandzie niewątpliwie kwitnie na co dzień. W parkach spotyka się mnóstwo osób z, prawdopodobnie, całego przekroju wiekowego, choć szczególnie zauważalne są rodziny z dziećmi oraz młodzież. Bardzo dużo osób jeździ rowerami.

W hostelu zjedliśmy jeszcze arbuza i udaliśmy się na spoczynek. To był dzień pełen wrażeń.

Natalia Juszczak

Dzień 4. – 11.08.2021 (środa)

Pełni energii po udanym spoczynku rozpoczęliśmy dzień od śniadania. W naszym menu znalazł się zakupiony dzień wcześniej u miejscowego handlarza chleb, masło, a także sporządzona przez nas sałatka z zakupionych na przydrożnym bazarze pomidorów, cebuli i papryki. Smak uświetniała przepyszna, zielona, uzbecka herbata. Mimo, iż konsumowaliśmy to w 7 osób, salaterka wypełniona aż po brzegi okazała się dla naszej grupy nie lada wyzwaniem. Po wspaniałym śniadaniu udaliśmy się do naszego pokoju, spakowaliśmy wszystkie rzeczy, opuściliśmy hostel „Registan" i ulokowaliśmy się w aucie naszego nowego przewoźnika.

Kadry z trasy (fot. DJ)

Cel – Jezioro Ajdar–Kul. Położone jest ono na granicy wilajetu nawojskiego i dżyzackiego, na terenie pustyni Kyzył–Kum, co w tłumaczeniu oznacza „czerwony piasek”. Powstało ono latem 1969 roku, po dramatycznym podniesieniu się poziomu wód Syr Darii, co doprowadziło do wylania Zbiornika Czardackiego i zalania słonego zapadliska. Obecnie jezioro to ma powierzchnię 3000 km^2, szerokość od 8 do 15 km i długość 250 km.

Widok na jezioro Ajdar-Kul (fot. AS)

W trakcie długiego przejazdu mieliśmy okazję obserwować ciągnący się przez wiele kilometrów pustynny krajobraz, na którym pasły się mniej lub bardziej liczne stada koni, owiec, krów, kóz oraz osłów. Po drodze czekał nas jeden przystanek – największe w okolicy miasto Nurata. Liczące około 30 tysięcy mieszkańców miasto ma swoje korzenie przed naszą erą, w czasach panowania Aleksandra Wielkiego. Słynie ono głównie z „Czaszmy”, czyli źródła, które jest miejscem pielgrzymek muzułmanów i jednym z głównych ośrodków Islamu w okolicy. Znajduje się tam kompleks, w skład którego wchodzi krystalicznie czyste źródło, którego woda jest bogata w mikroelementy, m.in. złota, studnia, meczet oraz łaźnia. Legenda głosi, że w okolicy pochowanych jest wiele osób, które widziało proroka Mahometa. Wraz z Natalią Juszczak udaliśmy się na górę, z której rozpościera się piękny widok na miasto. Następnie wróciliśmy do naszego busa, sporządziliśmy małe zakupy na dalszy etap podróży i ruszyliśmy dalej. Po kilku godzinach przejazdu po wyboistych, uzbeckich drogach

przecinających pustynię Kyzył–Kum dotarliśmy do jurt, które miały być miejscem naszego noclegu. Przy otwieraniu drzwi uderzyła nas fala gorąca. Wypakowaliśmy nasze bagaże, zapoznaliśmy się z terenem ośrodka i udaliśmy się na obiad.

„Gorące" jurty, miejsce naszego noclegu (fot. DJ)

Pustynny obiad (fot. DJ)

Po bardzo smacznym dwudaniowym obiedzie oraz małym deserze w postaci słodkiego, soczystego arbuza udaliśmy się na krótki spoczynek. Gdy temperatura delikatnie spadła, pojechaliśmy nad oddalone ok. 10 km jezioro. Na miejscu zastaliśmy niesamowity pejzaż – błękitne jezioro pośród pustyni, a w tle malownicze góry.

Relaks nad jeziorem (fot. DJ)

Nad jeziorem, oprócz nas, było jedynie ok. 10 osób, mogliśmy więc w spokoju korzystać z uroków plażowania w spokoju. Wtedy narodził się pomysł, aby udać się ponownie w to miejsce na wschód słońca. Niestety kierowca, pomimo naszych próśb, nie zgodził się, abyśmy przyjechali ponownie w to samo miejsce nad ranem. Po zażytym relaksie wróciliśmy do jurt, gdzie czekała na nas kolejna atrakcja. W trakcie przejazdu mieliśmy okazję obserwować kilka gatunków lokalnej fauny. Gdy dotarliśmy na miejsce, czekała na nas przejażdżka na wielbłądach. Pierwszymi ochotnikami byli nasz opiekun oraz Łukasz.

Ciekawski baktrian (fot. DJ)

Widząc ich zadowolenie po zakończonym przejeździe, sam ochoczo wsiadłem na dwugarbne zwierzę. Było to niesamowite przeżycie, jednak nie dla osób mających lęk wysokości.

Profesor Kacorzyk pozdrawiający nas z grzbietu wielbłąda (fot. DJ)

...a potem ja! (fot. DJ)

W tym miejscu mieliśmy okazję poznać rodzinę, która również stacjonowała w tych samych jurtach, co my; przyjechali oni z Chicago. Ku naszemu zdziwieniu, okazało się, że jedna z kobiet pochodziła z Polski. Po zmroku udaliśmy się na przygotowaną dla nas kolację, po której zostaliśmy zaproszeni na koncert muzyki lokalnej. Towarzyszyło mu ognisko rozpalone pośród otaczających jurt. Spektakularny pokaz zakończył się po chwili, my jednak pozostaliśmy przy rozświetlających noc płomieniach ogniska, rozmawiając z wcześniej zapoznaną rodziną oraz śpiewając znane wszystkim piosenki.

Po godzinie 22^{00} oddaliliśmy się kawałek od naszego obozowiska, aby obserwować spadające gwiazdy. Pośród niezanieczyszczonej światłem pustyni oglądaliśmy spektakularny widok na nieboskłon, od czasu do czasu wskazując innym przelatujące Perseidy, przy okazji tocząc mniej lub bardziej głębokie rozmowy na różnorakie tematy. Wciąż pozostawaliśmy bardzo czujni, obserwując czy nie zbliżają się do nas skorpiony. Na krótko przed północą udaliśmy się na spoczynek do swoich jurt, myśląc o czekającym nas jutro wschodzie słońca, zwiastującym nowy, ciekawy dzień…

Obowiązkowe zdjęcie z flagą Polski! (fot. DJ)

Arkadiusz Sadecki

Dzień 5. – 12.08.2021 (czwartek)

Śniadanie, jak zwykle, było smaczne i sycące. Naleśniki z konfiturą brzoskwiniową i rodzynkami, jajka sadzone, parówki i arbuz pozwoliły wszystkim dobrze zacząć dzień. I, choć to dopiero jeden z pierwszych dni wyjazdu, to znając dalsze nasze kuchenne rewolucje, pozwolę sobie na krótką dygresję. Mianowicie, z całego wyjazdu śniadania smakowały mi najbardziej. Nie dlatego, że były zbliżone do tego, co znamy. W końcu rzadko jemy na śniadanie słodkie naleśniki z parówkami i do tego arbuza lub melona. Najzwyczajniej każdy inny posiłek zdominowany był przez mieszankę przypraw i ziół na czele z kuminem i kolendrą, których dziwnym zrządzeniem losu nie jestem w stanie przełknąć (proszę o wyrozumiałość). Do tego często nie odpowiadały mi zapachy czy też tłuste jak słoik smalcu kawałki baraniny, które najlepiej było zjeść raczej szybciej niż wolniej. Tekstura oraz stan skupienia obfitych w tłuszcz potraw kuchni uzbeckiej z każdą minutą stygnięcia stawały się coraz to bardziej nieprzyjemne. To sprawiało, że właśnie na śniadania czekałem najbardziej.

Wracając jednak do dalszej części dnia, tuż po śniadaniu każdy szybko spakował się i już po chwili byliśmy w busie. Powrót do Samarkandy trwał dobrych parę godzin. Za oknem widok powoli zmieniał się z pustynno-górzystego na miejski.

Jeszcze przed opuszczeniem miasta udało nam się odwiedzić mauzoleum proroka Daniela. To dość ciekawe i nieoczywiste, ponieważ Daniel pochowany jest również w pięciu innych miastach, trzech w Iraku oraz dwóch w Iranie. Kolorytu historii miejsca jego pochówku dodaje teoria jakoby ciało proroka co roku rosło o pół cala, z tego też powodu sarkofag liczy obecnie około 18 metrów długości. Krótko po zakończeniu zwiedzania przyjechał po nas Zafar i zabrał nas w drogę do kolejnego z miast położonych na Jedwabnym Szlaku – Buchary.

Polski cmentarz (fot. DJ)

Po drodze zatrzymaliśmy się na dwóch wojskowych cmentarzach. Oba były miejscami spoczynku żołnierzy formowanej przez gen. Andersa armii. Jak mogliśmy dowiedzieć się, większość z nich była zesłanymi, uwięzionymi w więzieniach śledczych NKWD i deportowanymi do Gułagu obywatelami Polski. Do tego niedożywionymi i schorowanymi. W odnalezieniu miejsca ich spoczynku pomogło nam dwóch napotkanych po drodze Uzbeków. Bez ich pomocy z pewnością nie udałoby się nam ich odnaleźć, za co byliśmy im ogromnie wdzięczni.

Obiadokolację zjedliśmy w wysoko ocenianej przydrożnej restauracji, w której występowały przerwy w dostawie energii elektrycznej, przez co od czasu do czasu nie widzieliśmy, co dokładnie jemy. Z lekkim przekąsem pozwolę wziąć sobie to za plus. Jak już wcześniej napomknąłem, zamówione dania były ekstremalnie tłuste. Gotowana krowa, bo chyba była ona wrzucona do gara w całości, smakowała tak jak pachniała. Podana była wraz z wywarem. Na drugie zamówiliśmy dużą porcję dania o nazwie plov. Był to przyprawiony ryż z dodatkiem warzyw i grubo pokrojonych kawałków baraniny. Krótko mówiąc – smaczne… Chyba tak często powtarzane u nas stwierdzenie, że to właśnie tłuszcz jest nośnikiem smaku, kucharze w Uzbekistanie wzięli sobie do serca bardziej niż my. Szczęśliwie i tym razem na pomoc niejadkom przyszedł nasz kierowca, któremu jak zawsze wszystko smakowało najbardziej.

Plov – charakterystyczne danie uzbeckie (fot. DJ)

Do hotelu dotarliśmy wieczorową porą. Pożegnaliśmy kierowcę, życząc jemu i jego rodzinie wszystkiego najlepszego. Wręczyliśmy mu również wyjazdową koszulkę z zapewnieniem ponownego spotkania na szlaku, Jedwabnym Szlaku.

Łukasz Kuźniar

Dzień 6. – 13.08.2021 (piątek)

Jak na piątek trzynastego przystało, dzień zaczął się od niespodzianki. Okazało się, że po odkręceniu kranu nie leci z niego woda. Awaria w całym hotelu. No cóż, dobrze, że umyliśmy się dnia poprzedniego. Troszkę brudni zeszliśmy na śniadanko, które wyjątkowo pozytywnie nas zaskoczyło. Cały stół zastawiony był różnymi pysznościami, począwszy od naleśników i blinów aż po parówki, jajka, mortadelę, dżem, ser i wiele, wiele więcej. Chłopcy oczywiście sobie zaspali, ale na szczęście dziewczyny były wyrozumiałe i wszystkiego im nie zjadły. A Profesor, choć obiecał, że po wczorajszej kolacji niczego się nie tknie, jadł za trzech. Nieco ociężali wróciliśmy do pokoi, by za 10 minut udać się na miasto - w końcu w Bucharze byliśmy od dnia poprzedniego, a nic jeszcze nie widzieliśmy.

Wyjście troszkę przeciągnęło się, bo jeszcze płaciliśmy za hotel, więc później ze znacznie lżejszymi portfelami wyruszyliśmy na poszukiwanie banku. Bankomatów było sporo, ale banku w zasięgu wzroku żadnego. Po drodze wstąpiliśmy do przychodni zapytać o testy na Covid – poinformowano nas tam, że możemy je wykonać przed samym odlotem na lotnisku. Informacja przydatna, ale okupiliśmy ją nękaniem przez grupkę dzieci. Profesor skusił się i rzucił im kilka sumów - przez to zaczęły go jeszcze bardziej prosić o pieniądze i szarpać za koszulkę, niechybnie wyszlibyśmy z całej sytuacji jako bankruci – na całe szczęście uciekliśmy. Kontynuując poszukiwanie banku, dotarliśmy pod tutejszy meczet, przed którym leżało pełno rozłożonych dywaników. Piątek to u muzułmanów dzień święty i każdy wtedy idzie pomodlić się. Miły policjant udzielił nam rady, gdzie najlepiej szukać banku. Okazało się, że musimy wrócić po swoich śladach znaczną część drogi. W końcu udało nam się dotrzeć do wyczekiwanego źródła gotówki. Czuliśmy się jak milionerzy, wychodząc stamtąd z całymi paczkami pieniędzy. Teraz trzeba było je tylko odpowiednio wydać. Poszliśmy na przystanek miejscowego autobusu i już po chwili wsiedliśmy do dość zatłoczonego pojazdu. Celem naszej podróży był dworzec kolejowy zlokalizowany na obrzeżach miasta, gdzie mieliśmy kupić bilety na pociąg na kolejne dni. Autobus niespecjalnie różnił się od starodawnych modeli

Dworzec w Bucharze (fot. NK)

z Polski, no może jedynie poza powiewającymi zasłonami. Miejscowi zagadywali do nas, więc zawarliśmy nowe znajomości. Poczuliśmy też dzięki temu lokalny koloryt (szczególnie, gdy pewna starsza mieszkanka Buchary chciała wysiąść na przystanku, na którym kierowca się nie zatrzymał...). W każdym razie szczęśliwie dotarliśmy na dworzec, gdzie po dość długim czekaniu w kolejce zakupiliśmy potrzebne bilety. Następnie podeszliśmy do niewielkiego parku.

Nie było tam niczego ciekawego (no może poza umierającą z upału sierpówką), więc poszliśmy szukać przystanku w przeciwną stronę. Nagle dostrzegliśmy numer autobusu, którym mogliśmy wrócić do miasta. Dziki bieg przez ulicę na czerwonym świetle, później slalom między samochodami iiii... autobus pojechał w inna stronę. Ale zatrzymał się na poboczu! Więc była jeszcze nadzieja! No to bieg z powrotem i szybkie natknięcie się na dość wysokie barierki. Co tu zrobić, gdy od autobusu oddzielają nas barykady... Trzeba je sforsować górą! Sztuka niebywała, szczególnie w japonkach, ale wszyscy dali radę, ku uciesze i zdumieniu autochtonów. Wreszcie udało się dotrzeć do autobusu, tym razem pustego, dzięki czemu można było sobie usiąść. Podróż minęła bez większych problemów, o dziwo wiedzieliśmy, na którym przystanku powinniśmy wysiąść. Po drodze do hotelu wizyta w markecie i szybkie zakupy. Wreszcie koło 14^{00} wróciliśmy do pokoju. Niby mieliśmy odpoczywać, ale postanowiliśmy integrować się w tutejszych podziemiach, przy piwie i orzeszkach.

W autobusach zwykle jest dość tłoczno (fot. NJ)

Czasem udaje się jednak znaleźć kilka wolnych miejsc i to obok siebie (fot. DJ)

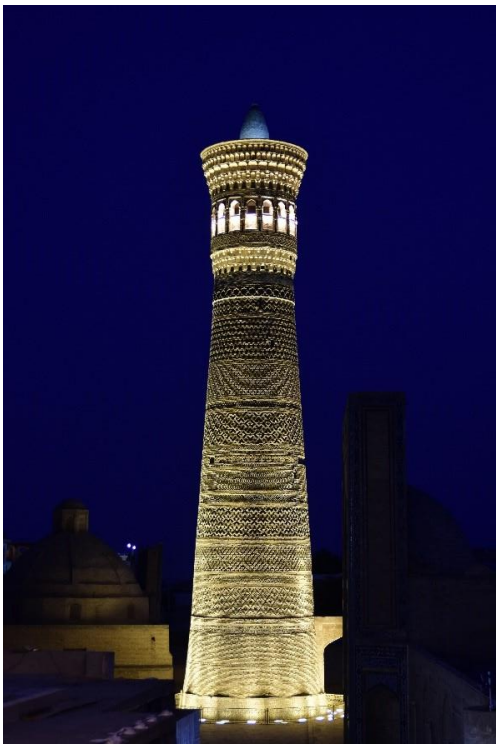

Oświetlony minaret (fot. NK)

Po około 2 godzinach przyszedł czas na sjestę. O 18^{00} udaliśmy się na zwiedzanie miasta. Zaczęliśmy od bramy Samarkandy, następnie wąskimi uliczkami miasta dotarliśmy na plac i kompleks Po-i Kalin. Po drodze zatrzymaliśmy się przy stoiskach z herbatą, rękodziełem i koszulkami, niektórzy zrobili zakupy, a niektórzy woleli w tym czasie głaskać małego kotka, który skądś się przybłąkał (pojawiły się też plany zabrania go do Polski). Centrum starego miasta naprawdę robiło wrażenie, nad wszystkim góruje tam minaret o wysokości 47 m. Przeszliśmy przez bramę i trafiliśmy na plac przed meczetem. Po chwilowym pobycie zostaliśmy wyproszeni, ponieważ przygotowywano się do modlitwy. Postanowiliśmy zatem coś zjeść, jako że pora była już dość późna. Wybraliśmy restaurację Chasmai-Mirob, z tarasu której rozciągał się widok na cały plac Po-i Kalon. Powoli zapadał zmrok, minaret został podświetlony światełkami i sprawiał naprawdę imponujące wrażenie. W takich okolicznościach aż chciało się usiąść i zjeść coś smacznego. A smaczne naprawdę było! Zamówiliśmy pilaw i manty z tykwą oraz mięsem, do picia herbata o wyjątkowej recepturze i sok, dodatkowo klasyczna sałatka ogórek - pomidor. Koszt to około 20 000 sumów za danie, czyli nie najgorzej, warto było zapłacić chociażby za te widoki (i oczywiście za smak!). Spędziliśmy tam ponad godzinę, a następnie znaleźliśmy cytadelę Ark, do której mieliśmy iść jutro. Okazało się, że mimo później pory jest ona otwarta i za 20 000 sumów weszliśmy do środka. Zostaliśmy oprowadzeni po jednohektarowym kompleksie i poznaliśmy o nim różne ciekawe historie. Następnie nieco zmęczeni ruszyliśmy w drogę powrotną do hotelu, klucząc ciemnymi uliczkami miasta. Buchara ma w sobie wiele skrajności, od wielkomiejskiego charakteru

Kolacja w Chasmai-Mirob (fot. NK)

(wielopasmowa droga, luksusowe budynki, banki, hotele) po wiejskie zaułki (ciasne uliczki, przejścia przez czyjeś podwórka, pełno wałęsających się psów, kotów, a nawet kóz...). Jutro mieliśmy w dalszym ciągu zgłębiać jej tajemnice.

Natalia Komorowska

Dzień 7. – 14.08.2021 (sobota)

Bucharę, jedno z najstarszych miast Uzbekistanu, zapamiętam jako miejsce bardzo, bardzo sytych śniadań. Hotel Demir, znajdujący się niedaleko od zabytkowego starego miasta, zaskoczył nas przepychem jedzenia. Gotowane i smażone jajka, parówki, owsianka, sery, wędliny, owoce, słodkości, kawa czy herbata – pewnie najedlibyśmy się jednym śniadaniem na kilka dni. Były ogromne, a po każdym musieliśmy aż robić regeneracyjną przerwę na trawienie. Po posiłku wyszliśmy w kierunku placu Liab-i-Hauz, sztucznego stawu otoczonego meczetami i medresami, podobno serca starego miasta Buchary. Nie jest on zbyt duży. Przed południem było tu naprawdę spokojnie.

Spokojne, poranne Liab-i-Hauz (fot. DJ)

Sesja na wielbłądach (fot. DJ)

Kupiliśmy wodę, bo już przed południem było bardzo ciepło. Chwilę odpoczywaliśmy w cieniu, czytając, co ciekawego mówi o Bucharze mój przewodnik. Nad stawem stały figury wielbłądów, na których zrobiliśmy zdjęcia, bo dlaczego nie? Zdecydowaliśmy, że to super miejsce na obiadokolację i wrócimy tu wieczorem. Czytam, że zaraz obok stoi pomnik Hodży na ośle, którego istnienie poddawane jest w wątpliwość. Jest on jednak w Uzbekistanie oraz całej Azji Środkowej bohaterem historyjek, anegdot i kawałów.

Mówi się o nim, że jest mądrym głupcem albo głupim mędrcem. Ciekawe! Musimy mieć z nim zdjęcie! Trochę kolejka była do tego mędrco-głupca na ośle. Po zdjęciu weszliśmy do medresy za pomnikiem.

Pamiątkowe zdjęcie z Hodżą (fot. DJ)

Kiedyś mieściła się tu szkoła dla mężczyzn, dzisiaj to miejsce sprzedaży lokalnych produktów. Zaraz po wejściu do środka zauważyliśmy, że Buchara rzemiosłem stoi. Ktoś dłubie w metalu, ktoś maluje magnesy, ktoś szyje chusty, plecie torebki, a ktoś po prostu gra w karty. A my krążymy dookoła, wpatrując się w artystów i podziwiając.

Buchara rzemiosłem stoi... (fot. DJ)

Podobnie w kolejnej medresie, Kukeltam, największej medresie w mieście i jednej z największych w całej Azji Środkowej. I owszem, była większa, ale tu stoiska dopiero otwierały się. Spacerowaliśmy wokół niej, oglądając mury i spoglądając na równie

zaciekawionych sprzedawców. Zaczepiła nas jedna z kobiet prowadzących muzeum o historii tej medresy z pytaniem czy chcemy wejść do środka (wstęp kosztował 10 000 UZS). Stwierdziliśmy, że mamy już przesyt muzeów i chyba wolimy pooglądać z zewnątrz, poza tym zerknęliśmy jak wyglądał taki „akademik" wcześniej w jednym ze sklepików. Kobieta zmniejszyła cenę wejścia na 5 000 UZS i zapytała, skąd przyjechaliśmy. Po odpowiedzi, że jesteśmy z Polski wyglądała, jakby przypominała sobie na mapie, gdzie ten kraj leży i chyba przypomniała sobie razem z okrzykiem „aaaa, Germania!". Próbowaliśmy wytłumaczyć, że Polsza z Germanią nic wspólnego nie ma, ale chyba nie rozumiała, o co nam chodzi. Cóż, może gdyby starała się sprawdzić te różnice to byśmy skorzystali z opcji wejścia do muzeum, lecz porównanie Polski do Niemiec ciut nas zniesmaczyło 😉. Po wyjściu z medresy postanowiliśmy udać się nad większy staw, w którym nadzieje pokładała Natalia K., ponieważ liczyła zobaczyć więcej niż majny w tym mieście. Wszyscy sobie i jej tego życzyliśmy. Po drodze zatrzymaliśmy się kupić pocztówki i znaczki. Część z nich wyślemy do dziekanów i rektorów naszych wydziałów, a resztę, razem z Natalią J., do znajomych. Wybraliśmy te najładniejsze i udaliśmy się dalej, w stronę Parku Samanidów.

Ulice Buchary (fot. DJ)

Po wejściu do parku przez wielką bramę zaczepiła nas, kolejna już, dziewczynka z prośbą o pieniądze. Byliśmy sceptycznie nastawieni, co do tego typu pomocy, jednak Profesor Kacorzyk jak zwykle okazał się najlepszym aniołem z grupy i podarował dziewczynce pieniądze. Hmmm, nadal nie jestem przekonana, co do takiego sposobu pomocy biedniejszym, ale każdy postępuje według swojego sumienia i racji. Po drodze nad staw, który znajdował się na samym końcu parku, mijaliśmy kilkanaście budek z watą cukrową, słodyczami i lodami. Park ten przypominał małe wesołe miasteczko. Gokarty, rollercostery i mnóstwo różnych aktywności. Nie zdecydowaliśmy się na żadną, bo wydawało nam się, że ich stan techniczny nie jest zbyt zadowalający. Znaleźliśmy staw, Natalia K. przepadła z aparatem, a my kupiliśmy lody, wodę i usiedliśmy w cieniu,

odpoczywając. Gdy Natalia wróciła z fotograficznych wojaży, postanowiliśmy wracać powoli do hotelu. Mijaliśmy te wszystkie jasne domy, betonowe, wąskie ulice. To miasto ma w sobie bardzo duży kontrast. Z jednej strony stare miasto, nazywane muzeum pod gołym niebem, wpisane na listę UNESCO, a po drugiej stronie ulicy walące się balkony, okna pozasłaniane skrawkami materiałów, kurz, zwisające kable, skrawki, wydawać by się mogło, niepotrzebnego metalu. Chyba w żadnym mieście Uzbekistanu nie było to tak widoczne.

Ulice Buchary cd. (fot. DJ)

Dotarliśmy do hotelu i wpadliśmy na pomysł – zimne piwo. Kupiliśmy je w barze przy hotelu i usiedliśmy na stołówce, rozmawiając. Trochę byliśmy zmęczeni, więc położyliśmy się spać i obudziliśmy się dopiero około 18^{00}.

Smakołyki – lagman (fot. DJ)

Na kolację udaliśmy się na Liab-i-Hauz. Gdy tam dotarliśmy, zajęty był tylko jeden stolik. Gdy zaś wychodziliśmy, mijaliśmy kolejkę czekającą na zwolnione miejsca. Chyba przyszliśmy o idealnej porze. Dostaliśmy karty, wybraliśmy jedzenie. Jak zwykle pyszne. Za nami, na małej scenie nagle

zaczął śpiewać jakiś mężczyzna. I śpiewał naprawdę ładnie. Okazało się, że jedliśmy kolację w miejscu z muzyką na żywo! Szkoda spędzać taki wieczór w hotelu; rozłożyliśmy karty i graliśmy w makao. Wróciliśmy już po 22^{00}. Jutro ostatnie tak syte śniadanie i ostatni dzień w Bucharze.

Daria Jadwisieńczak

Dzień 8. – 15.08.2021 (niedziela)

Ten dzień był bardzo spokojny. Po 21^{00} czekała nas podróż pociągiem do Nukus. Udało nam się przesunąć śniadanie na 10^{30}. Było to dla nas bardzo korzystne, ponieważ do 14^{00} mogliśmy pozostać w hotelu, z czego z chęcią skorzystaliśmy. Dzięki temu można było dłużej pospać, odpocząć, na spokojnie spakować się. Śniadanie, jak zwykle, było bardzo obfite. W oczekiwaniu na wyjście każdy sam zagospodarował sobie czas. Ja trochę odpoczywałam, przygotowałam pocztówki do wysłania. Napisaliśmy też kartki do władz uczelni i dziekanów.

O 14^{00} opuściliśmy pokoje i przenieśliśmy nasze bagaże do holu. Naszym celem tego dnia był Ark, który odwiedziliśmy już w piątek. Chcieliśmy go jednak zobaczyć jeszcze w dzień, kiedy otwarte będą drobne wystawy. Bez problemów weszliśmy na piątkowy bilet, tak jak zapowiedziała nam wówczas obsługa. Wśród eksponatów w różnych salach były zabytkowe księgi Koranu, sprzęt codziennego użytku (np. garnki), akcesoria wojenne, tradycyjne stroje, obrazy. Spotkaliśmy też pana, który oprowadził nas ostatnio (pomachał nam nawet).

Kobiety z osiołkiem napotkane przy hotelu (fot. NJ)

Spacerując po uliczkach Buchary, można było zapoznać się z pewnymi elementami budownictwa uzbeckiego (fot. NJ)

Manuskrypt Koranu w języku arabskim (fot. NJ)

Eksponaty historyczne na wystawach muzealnych w twierdzy Ark (fot. NJ)

Po cytadeli poszliśmy znów do parku zieleni z wesołym miasteczkiem. Nie skorzystaliśmy z żadnych atrakcji, ale spacerując po alejkach, natknęliśmy się na grupę dziewcząt ubranych w tradycyjne, odświętne stroje, które prawdopodobnie robiły sobie próbę występu tanecznego. Przysiedliśmy na chwilę, by obejrzeć to widowisko. Szczególnie urzekające było w tym to, że cały czas pięknie uśmiechały się, wszelkie ruchy wykonywały z energią i było widać, że im samym sprawia to przyjemność. Na koniec zrobiliśmy sobie razem zdjęcie.

Dziewczyny w trakcie występu (fot. NJ)

Wspólne zdjęcie z grupą artystyczną (fot. SI)

Następnie poszliśmy dalej, kupiliśmy lody i usiedliśmy przy stoliku. Natalia nie ustępowała w swoich obserwacjach ptaków. Kiedy zebraliśmy się razem, przeprowadziliśmy tradycyjną rozmowę, podczas której każdy uczestnik obozu opowiadał o swoich wrażeniach, odczuciach i spostrzeżeniach z dotychczas przebytej trasy. Z takich ważniejszych rzeczy było m.in. o tym, że mimo temperatur blisko 40°C, nie były one tak uciążliwe jakbyśmy spodziewali się tego po doświadczeniach z polskich warunków; możliwe, że wiąże się to ze znacznie mniejszą wilgotnością powietrza. Inna sprawa to ceny – można bardzo tanio, a dobrze zjeść, hotele są tanie, a mają bogatą ofertę. Niektóre produkty są jednak w porównywalnej cenie, a mogą też wydawać się nawet drogie (np. chleb). Kolejna ciekawostka to obfitość marki Chevrolet (Daewoo) na ulicach, do tego niemal wszystkie białe. Dużo osób jeździ rowerami. Sporo osób całymi rodzinami spędza wieczory w parkach miejskich. Jeszcze kwestia religii; nie spotkaliśmy chyba żadnej kobiety, która byłaby całkowicie zasłonięta, wiele z nich ubiera się podobnie jak my (choć przeważają sukienki). W żadnym meczecie nie musiałyśmy zakrywać włosów ani twarzy.

Między 16^{00} a 17^{00} zaczęliśmy wracać do hotelu. Już na miejscu na odchodne wypiliśmy jeszcze piwo hotelowe i po 18^{00} wyruszyliśmy na dworzec. Pojechaliśmy autobusem miejskim linii 378, podobnie jak w piątek, gdy kupowaliśmy bilety. Profesor od razu znalazł kompana, z którym, kolokwialnie mówiąc, przegadał niemal całą trasę; oczywiście usiadł też z samego przodu, obok kierowcy. Jeszcze przed nadjechaniem autobusu Łukasz „zdobył" przy okazji zakupów monety 200 UZS. Bardzo cieszyłam się, ponieważ pierwszy raz natknęliśmy się na takie – to będzie świetna pamiątka.

Pożegnalne zdjęcie z właścicielką hotelu (fot. SI)

Na dworzec wpuszczono nas za okazaniem biletu kolejowego. To w sumie bardzo trafione rozwiązanie, ponieważ nie przebywają tam przypadkowe osoby, łatwiej utrzymać czystość. Dworzec był na pewno niedawno wybudowany, ewentualnie wyremontowany, gdyż wszystko było nowe, ściany jeszcze czyste. Z uwagi na późną porę otwarty był tylko bufet, z którego asortymentu skorzystaliśmy zresztą. Jeszcze przed przyjazdem pociągu nasze bilety zostały opieczętowane.

Ok. 21^{00} wyszliśmy przed budynek. Na zewnątrz było równie elegancko – oświetlony peron, liczne ławeczki. Nasz pociąg stał na torze zasłoniętym, z punktu widzenia naszej lokalizacji, przez inny skład. Żeby sprawnie i bez długich spacerów znaleźć się przy nim, po prostu przeszliśmy przez wnętrze wagonu tego stojącego pociągu.

Nasze bilety wskazywały wagon nr 21, toteż od razu do niego skierowaliśmy się. Odnaleźliśmy nasze miejsca, ale wynikło małe zamieszanie. Na dolnych łóżkach siedziało już dwóch panów, a z naszych biletów wynikało, że wszystkie cztery łóżka zajmujemy my. Nie mogłam zrozumieć, o co chodzi. Okazało się w końcu, że Ci panowie mają miejsca na łóżkach równoległych do korytarza i piętrowych, ale żaden z nich, z uwagi na wiek, gabaryty, ale i zapewne brak woli, nie zamierzał udawać się tam. Nie przeszkadzało nam to bardzo, ale trudno było dojść ładu z tym i jednak trochę rozsypali nam ekipę. W dodatku jeden z nich wziął sobie dwa materace, dwie poduszki i „cicho sza". Dopiero konduktor zorientował się w tym i oddał te nasze. Zanim usadowiliśmy się, było już pewnie po 22^{00}, każdy odczuwał zmęczenie. W wagonie było gorąco i jeszcze kazali zamykać okna. Potem okazało się, że to nie takie złe, ponieważ bardzo pyliło z zewnątrz. Dla mnie osobiście to była, jak dotychczas, najgorsza podróż wagonem plackartnym. Po zgaszeniu światła, gdzieś w nocy, to okno zostało jednak otworzone i w rezultacie nie dość, że zmarzłam to jeszcze było głośno, rzucało piaskiem (dosłownie zgrzytało mi w zębach) i wiało w oczy. Z poziomu łóżka nie potrafiłam zamknąć tego okienka, więc zasłaniałam się poduszką, pościelą, rękami, ale na niewiele zdało się to. Dopiero nad ranem, na jakieś dwie godziny przed wysiadaniem zobaczyłam, że nie

Byliśmy bardzo szczęśliwi, gdy odnaleźliśmy już „swoje" miejsca (fot. NJ)

ma naszych współpasażerów, zeszłam więc swobodnie na dół i zamknęłam to okno. Pozostało mi około godziny snu.

Natalia Juszczak

Dzień 9. – 16.08.2021 (poniedziałek)

Obudzeni zostaliśmy ok. godziny 5^{00} przez obsługę pociągu. Zaczęliśmy pakować nasze rzeczy i oczekiwaliśmy na naszą stację – Nukus.

Wagon sypialny kolei uzbeckich (fot. AS)

Pozostałości po pochówku (fot. DJ)

Na miejsce dotarliśmy ok. godziny 6^{00}, czekały na nas już dwie Toyoty Land Cruiser, którymi mieliśmy ruszyć na wyprawę nad Morze Aralskie. Krótkie formalności w firmie, prysznic, herbata i ruszamy, gdyż czekało na nas około 500 km drogi. Niedługo po wyjechaniu z Nukus zwiedziliśmy stary, zabytkowy cmentarz, na którym dzięki uprzejmości miejscowego grabarza dowiedzieliśmy się o tradycjach pochówku w Uzbekistanie. Było tam również mnóstwo ciekawych nagrobków. Część z nich była wręcz kapliczkami.

Widok z wejścia na cmentarz, u jego podnóża (fot. DJ)

Obraz ze szczytu wzgórza cmentarnego (fot. AS)

Po 300 km dalszej trasy dotarliśmy do Moynaku. Obecnie jest to liczące około tysiąca mieszkańców miasteczko pośród niczego. W latach 40. XX wieku mieszkało tam 40 tysięcy ludzi, a w tętniącym życiem mieście działało wiele zakładów przetwórstwa ryb. Działały one jeszcze do 2000 roku. Po utracie dostępu do morza Moynak stracił status miasta portowego, co za tym idzie zakłady rybne przestały mieć tam jakikolwiek sens. Przy wjeździe do miasta

Pomnik przed wjazdem do miasta Moynak (fot. AS)

zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie, a w samym centrum miasta zwiedziliśmy muzeum ekologiczne Morza Aralskiego, gdzie mieliśmy okazję oglądać mnóstwo eksponatów i dzieł sztuki związanych z lokalną karakałpacką kulturą, historią oraz eksploatacją morza. Na miejscu oprowadzani byliśmy przez doktoranta z Rumunii, który w tym muzeum odbywał praktyki.

Po opuszczeniu muzeum pojechaliśmy nad brzeg, gdzie morze można było zobaczyć tylko oczami wyobraźni. Tak naprawdę dookoła towarzyszył nam tylko i wyłącznie pustynny krajobraz. Na dnie znajdowało się kilka zardzewiałych wraków porzuconych kutrów rybackich, które jeszcze kilkanaście lat temu pływały po tamtejszych wodach.

Jeden z wraków kutrów rybackich pozostawionych ku pamięci niegdyś będącego tu morza (fot. AS)

Zdumieni tym widokiem pojechaliśmy do pobliskiej wioski, gdzie czekał na nas pyszny obiad. Przyjęci zostaliśmy w prywatnym domu, a zaserwowano nam smakowite pielmieni oraz ziemniaki z mięsem.

Obiad na trasie do Morza Aralskiego (fot. DJ)

Najedzeni mogliśmy ruszyć w dalszą podróż. Auta terenowe, którymi przemieszczaliśmy się, pozwalały na rozwijanie dużych prędkości, a nasi kierowcy wcale nie mieli zamiaru zwalniać na wyboistych, pustynnych drogach na dnie byłego już morza. Naszym celem były jurty, w których mieliśmy nocować. Po drodze zatrzymywaliśmy się w wielu miejscach, skąd obserwowaliśmy panoramę tego, co jeszcze niedawno było morzem. Gdy dojechaliśmy do naszego noclegu, zostawiliśmy plecaki i od razu udaliśmy się nad pozostałości morza. Obecnie tafla wody, która jest bardzo mocno zasolona, ma powierzchnię jedynie ok. 3000 km^2.

Widok znad niegdysiejszego brzegu morza na pozostałą obecnie taflę wody (fot. AS)

W trakcie pobierania materiału badawczego (fot. DJ)

W trakcie kąpieli porównywaliśmy ją do Morza Martwego z uwagi na dużą wyporność. Niemałym problemem było wyjście z wody, gdyż brzeg był bardzo grząski i nawet krótkie zatrzymanie skutkowało zatapianiem nóg w bagnie. Po zażytej kąpieli oraz wysuszeniu się, cali w soli ruszyliśmy, aby pobrać próbki do badań. Podzieleni na małe grupki dosyć sprawnie pobraliśmy materiał badawczy w towarzystwie zachodzącego słońca.

Następnie dość stromą drogą wróciliśmy do naszej jurty. Po niedługim czasie otrzymaliśmy bardzo smaczną kolację, a po jej skonsumowaniu toczyliśmy rozmowy z widokiem na Aral.

Takie kolacje mają swój niepowtarzalny urok (fot. DJ)

Odczuwając zmęczenie, wybrałem się pod prowizoryczny prysznic, który składał się z blaszanej osłonki oraz ręcznego opryskiwacza ogrodowego. Niestety, w opryskiwaczu pozostało już niewiele chłodnej wody, której zabrakło mi podczas spłukiwania się. Po odświeżającej kąpieli położyłem się do łóżka, oczekując następnego dnia, który mieliśmy rozpocząć od obserwacji wschodzącego słońca.

Pustynne umywalki oraz prysznic (fot. DJ)

Arkadiusz Sadecki

Dzień 10. – 17.08.2021 (wtorek)

Nawiązując do mojego poprzednika, wiem, że powinienem zacząć od wschodu słońca. Tak się jednak nie stanie. Powód jest tylko jeden. Ani mnie, ani Pana Profesora, którego z pełną świadomością w tej chwili wydaję, na nim nie było. Natomiast, jak to opiekun naszej wyprawy naukowej mówi: *jeszcze nie jeden wschód słońca przed każdym z nas*.

Zapożyczony kadr ze wschodu słońca (fot. NJ)

Chwilę po wschodzie nadeszło śniadanie, na którym zjawiliśmy się już w komplecie. Piękne widoki sprawiły, że płatki z mlekiem, naleśniki oraz owoce smakowały jeszcze lepiej. Było to jedno z najlepszych śniadań w moim życiu. Smakołyki, widoki i, co najważniejsze, towarzystwo nie pozwalały tak łatwo spakować się i wsiąść do samochodu.

Trudno było sobie wyobrazić, że droga, po której w tamtym momencie kierowcy wieźli nas prawie 100 km/h, jeszcze 50 lat temu była ciężko dostępnym dnem morza liczącego sobie prawie 70 metrów głębokości. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że była to najbardziej zaskakująca część wyjazdu. Zaskakująca była również playlista, którą raczył nas nasz małomówny kierowca. Mianowicie było to 5 piosenek lecących z lekkimi przerwami w pętli. Szybko licząc, przez sześciogodzinną drogę w jedną stronę tekst przynajmniej trzech poznaliśmy na pamięć. Pamiętajmy, że były to piosenki napisane w języku uzbeckim. Dla zainteresowanych podaję tytuły: Kyzdar-Ai, Shiqqir-shiqqir oraz Бұртиғаныңды Сүйдім ;)

Kolega z trasy (fot. ŁK)

Po krótkiej przerwie na obiad, w sali wyglądającej na co najmniej VIP i drugiej części podróży powrotnej dotarliśmy do hostelu. Prysznic, krótka drzemka i wyjście na wieczorne zwiedzanie miasta Nukus. Nie byliśmy jednak sami. Dołączyła do nas młoda Amerykanka, która, jak się dowiedzieliśmy, podróżuje po świecie na polskim paszporcie. Pamiętajmy, że był to okres, w którym w Afganistanie władzę nad krajem przejmowali Talibowie. Julie, bo tak miała na imię, kompletnie nie znała języka polskiego. Polskie obywatelstwo uzyskała z uwagi na pochodzenie swojej babci, która jeszcze przed wojną przedostała się do Ameryki. Długa, miła rozmowa podczas kolacji i późniejszego zwiedzania miasta zaowocowała wymianą kontaktów i nową znajomością.

Nukus na wszystkich zrobił pozytywne wrażenie. Duże, położone pośrodku niczego miasto okazało się tętniącą życiem oazą z wieżowcami, restauracjami i bogatym życiem towarzyskim. I, choć wszystkie miejsca, które chcieliśmy odwiedzić były już zamknięte, sam spacer okazał się wystarczający.

Łukasz Kuźniar

Dzień 11. – 18.08.2021 (środa)

Dzień rozpoczął się od zamówionego wcześniej śniadanka. Po przyjściu do niewielkiego pokoiku będącego jadalnią nic zbytnio nie było przygotowane, ale sympatyczny pan szybko uwinął się z podaniem nam wszystkiego. Potem zjawiła się jeszcze pani, aby usmażyć jajka. Całości dopełniał pokrojony arbuz. Najedzeni poszliśmy do swoich pokoi chwilkę odpocząć i dopakować bagaże.

Po godzinie 13^{00} mieliśmy mieć pociąg z Nukus do Taszkientu. Pojechaliśmy odpowiednio wcześniej wynajętymi taksówkami – dwoma małymi, żółtymi i jedną większą, czarną, w której zmieścił się Profesor, Daria i ja. Co ciekawe, choć dystans do pokonania był taki sam, to ceny różniły się od siebie. My zapłaciliśmy 9 000 sumów, a inni 7 500. Po dojechaniu na dworzec mieliśmy trochę wolnego czasu, więc błąkaliśmy się w poszukiwaniu sklepu, toalety lub innych atrakcji (których było dość mało). W końcu zapowiedzieli nasz pociąg, więc poszliśmy na peron – a razem z nami tłum ludzi. Musieliśmy przejść praktycznie na drugi koniec peronu, gdzie znajdował się nasz wagon nr 21. Tym razem zajęliśmy swoje miejsca przed wszystkimi schorowanymi starcami, matkami z dziećmi itp., którzy tylko czyhali na kuszetkę na dole. Udało nam się siedzieć blisko siebie – ja i Arek na górze, Natalia i Łukasz na dole, a zaraz obok w sąsiedniej „czwórce" opiekunowie i Daria. Rozpoczęła się nasza mozolna podróż mająca trwać 17 godzin. Krajobrazy za oknem nie ułatwiały upływu czasu – dość szybko zaczęła się tam ciągnąć pustynia i… pustynia, a potem dla odmiany pustynia, która od czasu do czasu była urozmaicona jakąś rzeką pojawiającą się znikąd i tam też zmierzającą. Trzeba było zająć się czymś innym niż podziwianie widoków za oknem.

Fascynujące widoki rozciągające się z okna pociągu (fot. NK)

Standardowo słuchaliśmy muzyki, rozmawialiśmy, czytaliśmy książki, a w porze obiadowej udaliśmy się do wagonu restauracyjnego. Najpierw poszedł Łukasz z Natalią i zniknęli tam na dobre, ich miejsca chciała zająć starsza pani z córką, ale walczyliśmy dzielnie. Potem poszłam ja razem z Arkiem. Aby dostać się do źródła jedzonka należało przemierzyć niekończący się ciąg drzwi, klamek, korytarzy, pokonać niedostępne przejścia okupowane

przez ludzi i przechodzić między złączonymi na słowo honoru wagonami. W końcu dotarliśmy do celu. Od razu podeszła do nas miła pani – Arek zamówił lagmana, a ja próbowałam dowiedzieć się, co jeszcze jest innego. Ostatecznie po długich pertraktacjach i obrazowym pokazywaniu kury dostałam talerz z ryżem, kaszą i makaronem, na których leżał kotlet oraz jajko. Do tego herbatka i obiad stał się naprawdę smaczny. Klimatu dodawała ciągnąca się za oknem pustynia. Po posiłku powrót przez niekończący się ciąg wagonów i zajęcie się swoimi sprawami. Grupa w sąsiedniej „czwórce" zaczęła rozmawiać z żołnierzami z Uzbekistanu jadącymi do Taszkientu na turniej zapasów. Zawarte zostały kolejne nowe znajomości (choć Daria okupiła to potem przymiażdżonymi nogami). Przed ciszą nocną pograliśmy chwilę w karty, ale zgasili nam światło, więc trzeba było kłaść się spać.

Zasnęłam dość szybko, nawet nie wiem kiedy, rytmiczne stukanie pociągu na pewno mi w tym pomogło. Obudził mnie przenikliwy chłód. Dygotałam z zimna i próbowałam skulić się najbardziej jak tylko mogłam pod cienkim prześcieradłem. Na dalsze spanko nie było szans. Musiałam zamknąć okno znajdujące się po drugiej stronie przejścia. Okazało się to nie takie proste – byłam zbyt niska, by odpowiednio zahaczyć zaczepy z poziomu podłogi i okno ciągle otwierało się na nowo. Irytujące. Poszłam do toalety, przy okazji sprawdzając działanie mechanizmów zamykających na innym oknie, bliżej konduktora. Wzbudziłam tym chyba lekkie podejrzenia, bo już za chwilę kilku umundurowanych omiatało korytarz latarką. A ja powróciłam do swojego nieszczęsnego okna i wisząc jak Tarzan nad przejściem, zaczepiona o krawędzie łóżek, dokonałam niebywałego – w końcu udało mi się zamknąć okno. Szczęśliwa z tego faktu poszłam spać dalej – niby została mi tylko godzina snu, ale i tak mnie to ucieszyło. Po 5^{00} stałam się ofiarą drastycznej pobudki – przed oczami pojawił mi się pan krzyczący „Taszkent, Taszkent". Podziękowałam i tak jak inni zaczęłam zbierać swoje rzeczy. Na stację dojechaliśmy koło 6^{00} – a więc jeszcze przed wschodem słońca – a to razem z nim mieliśmy rozpocząć wędrówkę po stolicy.

Natalia Komorowska

Dzień 12. – 19.08.2021 (czwartek)

Większość turystów, gdy wjeżdża do nowego kraju, zazwyczaj rozpoczyna swoją przygodę w jego stolicy, której rzadko poświęca się dużo uwagi. Miasta takie często są przejazdowe albo po prostu mało atrakcyjne dla osób omijających wielkie miasta. Taszkent, stolica Uzbekistanu, przywitał nas ruchliwymi ulicami i świecącymi neonami.

Metro w Taszkiencie (fot. DJ)

Zafar (nasz zdecydowanie ulubiony kierowca) przywiózł nas pod hotel o wdzięcznej nazwie – Orient Palace. I z zewnątrz naprawdę wyglądał jak pałac. Rozety, witrażyki, kremowa barwa murów może świadczyć o ekskluzywności... Dotarliśmy dość wcześnie, pokoje nie były jeszcze gotowe, ale mogliśmy zostawić bagaże w pokoju recepcjonistów. Przebraliśmy się, umyliśmy zęby i byliśmy gotowi do wyjścia, żeby nie marnować za dużo czasu. Okazało się, że w zamian za to, że opuścimy pokoje dość wcześnie, wyjeżdżając z Uzbekistanu i ominiemy tego dnia śniadanie, możemy je zjeść dzisiaj! To była cudowna wiadomość, bo wszyscy byliśmy głodni, chociaż była dopiero 6^{00}. Zeszliśmy na dół na stołówkę i znów zaskoczyła nas mnogość jedzenia. Kawa, herbata, melony, arbuzy, słodkości, dziwne różowe wędliny i parówki, sery, orzechy, migdały, jogurty – mnóstwo jedzenia. Najedliśmy się i około godziny 8^{00} wyszliśmy na miasto.

Pocztówki lecą do Polski! (fot. DJ)

Zafar podwiózł nas na pocztę, gdzie razem z Natalią Juszczak i Profesorem Kacorzykiem wysłaliśmy pocztówki. Następny przystanek – Agrobank, żeby wymienić ostatnie euro. Zafar podwiózł nas pod kompleks Hazari Imam. To miejsce, które odpowiada samarkandzkiemu Registanowi. Jak dla mnie, po zachwycie Registanem i innymi meczetami i meczetopodobnymi budynkami, nie było to zachwycające miejsce. Piękne, ale chyba już wszyscy mieliśmy powoli nadmiar niebieskich kopuł. A może tak naprawdę Taszkent nie jest tak imponujący? Może Hazari Imam, ze względu na swoją nowość, nie oddaje tak historii miasta i całego Uzbekistanu? Może brakuje tu tego czegoś? Może mnogość kopuł i mozaik wcale nie jest aż tak powalająca z nóg? Znajduje się tu najstarszy manuskrypt Koranu, ale nie miałam wrażenia, że to ważne miejsce. I totalnie tego nie rozumiem. Nie zobaczyliśmy go, bo ze względu na to pierwsze wrażenie nie kupiliśmy biletów. Weszliśmy tylko na plac główny, zrobiliśmy zdjęcie i wróciliśmy do Zafara.

Hazari Imam (fot. DJ)

Poszukaliśmy ciekawostek na temat Taszkentu i obraliśmy kierunek Muzeum Ofiar Represji Politycznych. Okazało się, niestety, że muzeum jest w remoncie i nie możemy wejść

do środka. Zbliżała się 12^{00} i mieliśmy już powoli dość, zmęczenie po podróży pociągiem dawało się coraz bardziej we znaki. Wróciliśmy do hotelu w nadziei, że pokoje są już gotowe i wreszcie możemy odpocząć. Razem z Nataliami nie miałyśmy szczęścia, bo tylko nasz pokój nie był gotowy. Poczekałyśmy w pokoju Profesora Kacorzyka aż będziemy już mogły wejść. Trwało to jakieś pół godziny. Było to chyba najdłuższe pół godziny tej wyprawy. Ale minęło, wykąpałyśmy się i poszliśmy wszyscy spać. Umówiliśmy się o 16^{00} na recepcji, żeby iść na miasto pozwiedzać i zjeść coś lokalnego.

Wyruszyliśmy na bazar, na który podwiózł nas Zafar. Jest to jeden z najstarszych i największych bazarów w Azji Środkowej, przez wieki uznawany za serce miasta. I faktycznie nim jest. Niezliczona ilość stoisk. Miałam wrażenie, że można tam kupić dosłownie wszystko. Tony arbuzów, melonów, winogron, pomarańczy, gruszek, fig. Takich zapachów nie czułam nigdzie indziej. Nie tylko tych na stoiskach z owocami czy aromatycznymi przyprawami, ponieważ cały bazar był jakby podzielony na takie strefy. Gdy weszliśmy do kopuły, w której znajdowało się mięso i nabiał, to co poczuły moje nozdrza, poczuł też żołądek. I szczerze myślałam, że zwymiotuję. Ale ciekawość okazała się silniejsza i po prostu wstrzymywałam oddech. U nas w Polsce sanepid chyba nie dałby zezwolenia na otworzenie takiego miejsca. I za to właśnie kocham podróże, za te różnice, za brak jednorodności. Ten bazar dokładnie, w moim odczuciu, oddawał to, czym żyje cały Uzbekistan. Nie być na takim bazarze to tak, jakby nie być w tym kraju. Każdy z nas coś kupił. Oczywiście coś, co można zjeść i przewieźć do Polski.

Targ w stolicy, największy jaki widziałam w życiu (fot. DJ)

Wróciliśmy po tym labiryncie do Zafara i pojechaliśmy jeść. Weszliśmy do miejsca z polecenia naszego kierowcy i mieliśmy przeczucie, że zjemy tu dobrze. Nie myliliśmy się. Pyszne i tanio. Tak się najedliśmy, że ledwo wstaliśmy od stołu. Ale to wszystko było tak dobre, że nie mogliśmy sobie odmówić. Prawdziwa uczta. Jutro jedziemy w góry i nad jezioro. Żegnamy się z Taszkentem i z Uzbekistanem.

Prawdziwa uczta! (fot. DJ)

Daria Jadwisieńczak

Dzień 13. – 20.08.2021 (piątek)

To był w zasadzie ostatni dzień w Uzbekistanie i poświęciliśmy go całkowicie rekreacji. Dla mnie szczególnie dzień pełen wrażeń i przygód. Pierwsza zaraz po śniadaniu, kiedy pomyliłam piętra i z impetem weszłam do cudzego pokoju. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że coś jest nie tak. Otwieram drzwi, a tu na „moim" łóżku leży jakiś gość. Stanęłam jak wryta, oczy szeroko otworzyłam, po czym bez słowa wyszłam jeszcze szybciej niż weszłam. Nie wiem czy ten pan mnie spostrzegł, ale całe szczęście, że o nic nie zapytał i nie musiałam tłumaczyć się. Grupa zachodziła się ze śmiechu, gdy usłyszała o tej sytuacji.

Nasz kierowca zabrał nas w góry Czatkalskie i nad jezioro Chorvoq Suv Ombori. Obydwie atrakcje były położone ok. 2 godziny drogi od Taszkentu. Najpierw pojechaliśmy w góry. Po drodze mijaliśmy rozlewiska rzeki Chorchiq, przy których było sporo zielonej trawy i zakrzaczenia. Dość licznie pasły się tam zwierzęta gospodarskie: konie, bydło, owce, osły. Mijaliśmy też np. pola z cebulą, gdzie właśnie trwały zbiory. W górach naszym celem był wyciąg krzesełkowy. Przy ostatnich podjazdach na zboczach znajdowało się parę hoteli i innych obiektów turystycznych, niektóre dopiero w budowie.

Gdy podjechaliśmy pod stację kolejki, okazało się, że jest zamknięta, bo w remoncie. Myśleliśmy, że tak całkiem, ale za godzinę miała być już uruchomiona. W oczekiwaniu na otwarcie zjechaliśmy do pobliskiej knajpki, gdzie przekąsiliśmy co nieco. Kiedy wychodziliśmy z zajazdu, przejeżdżało dwóch chłopaków konno i po krótkiej rozmowie Profesor, Natalia K., a na końcu nawet nasz kierowca również mogli dosiąść rumaków. Podjechaliśmy z powrotem pod stację kolejki. Natalia K. nie chciała wyjeżdżać na górę i została przy samochodzie, obserwowała ptaki. Reszta osób skorzystała z atrakcji, która kosztowała 25 000 UZS i obejmowała przejazd w obydwie strony (po ok. 30 min w jedną). Widoki były bardzo ciekawe, rozległe. U stóp płynął strumień, wyżej rosły sady, krzewy, pasły się konie. Widać było też ścieżkę, którą można było wspiąć się na górę piechotą. Był to jeden z krańców łańcucha Tien-Szan. Górna stacja kolejki znajdowała się na wysokości 2095 m n.p.m. Zrobiliśmy tam pamiątkowe zdjęcie, m.in. z flagą Polski. Ciekawostką było spostrzeżenie przez Profesora, że rósł tam kosaciec syberyjski. Doczytaliśmy też, że zbocza gór w tamtejszym parku (Park Narodowy Ugam-Chatkal) w okresie wegetacyjnym porastają łany kwiatów: tulipanów, krokusów, przebiśniegów, maków i dzwonków.

Razem z Darią jechałyśmy kolejką pomiędzy Łukaszem i Arkiem (po lewej) a opiekunami (po prawej) (fot. NJ)

Rozległe widoki z wyciągu (fot. NJ)

I z okolic górnej stacji również (fot. SI)

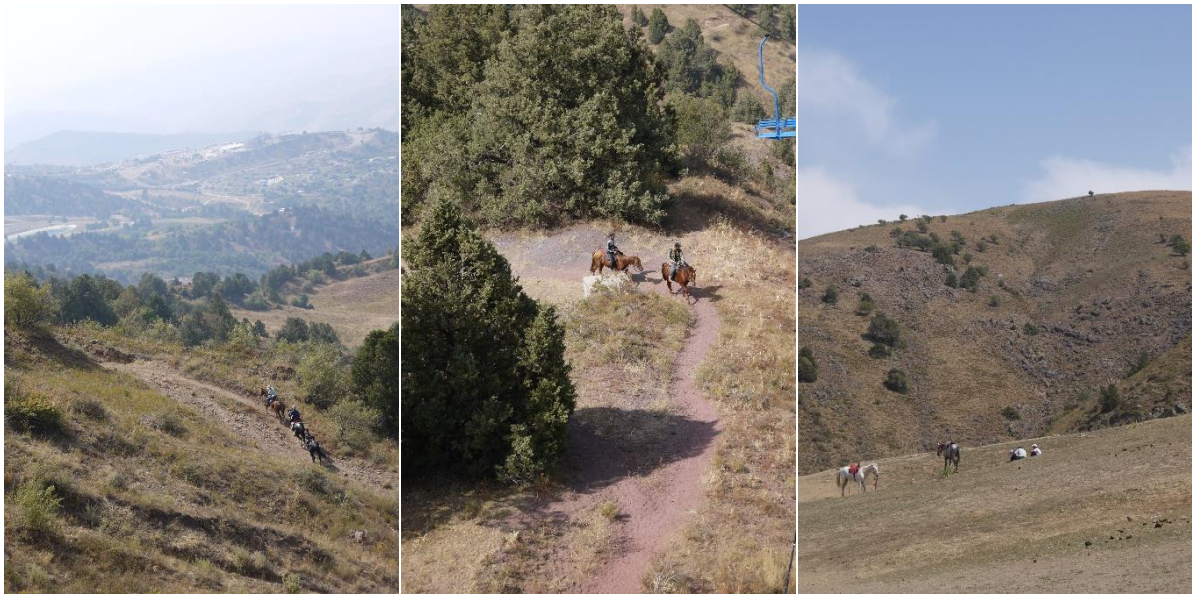

Zaobserwowaliśmy sporą popularność turystyki konnej (fot. NJ)

Kiedy zjechaliśmy na dół, skierowaliśmy się nad jezioro. Zatrzymaliśmy się jeszcze na moment przy stoisku przydrożnym, gdzie zakupiliśmy kefirowe kulki oraz próbowaliśmy kumysu (sfermentowane mleko końskie). Dla większości z nas była to pierwsza styczność z tym produktem. W naszej ocenie smak kojarzył się z kwasami żołądkowymi… Chyba nie jest konieczne rozwinięcie tej myśli.

Kąpielisko przy jeziorze było swego rodzaju kurortem. Przy wjeździe widniał napis BAR BADOS. Było tam mnóstwo wczasowiczów. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do wody stały stragany z pamiątkami, owocami czy akcesoriami kąpielowymi. Można też było wypożyczyć maty do leżenia oraz sprzęt do rozrywki – quady, paralotnię. Woda miała przepiękny kolor, choć przy brzegu była lekko mulasta. Zapewne związane to było z kilkumetrową strefą grząskiego podłoża wzdłuż brzegu akwenu, o czym szybko przekonaliśmy się, chcąc wejść do wody. Dodatkowo kamienista plaża i obecność kamieni na dnie zmuszały do zachowania ostrożności przy przemieszczaniu się. Mimo tego wszystkiego oraz dość chłodnej wodzie, było to naprawdę ciekawe miejsce. Po jeziorze pływały skutery, statki, grała muzyka. Po krótkiej kąpieli posililiśmy się melonem, którego kupiliśmy na trasie. Chwilę jeszcze odpoczywaliśmy, rozmawialiśmy, po czym spakowaliśmy się z powrotem.

Błękit jeziora Chorvoq Suv Ombori (fot. NJ)

Nasza grupa zmierzająca do kąpieli (fot. NJ)

W Taszkencie Zafar zaprowadził nas do sprawdzonej przez niego restauracji Shanona, gdzie zjedliśmy kolację. Jako że to były nasze ostatnie chwile w Uzbekistanie, pozwoliliśmy sobie z Łukaszem (podobnie jak dnia wczorajszego) na odrobinę szaleństwa, zamawiając parę ciekawych dań i dodatków, a nawet deser. Szczególnie udanym wyborem okazał się stek wołowy z grillowanymi warzywami, ale tak naprawdę wszystkie dania były smaczne, o dużych porcjach, a przy tym bardzo tanie, gdyby uwzględnić do tego ekskluzywność lokalu i odnieść ofertę do warunków polskich. Za całe zamówienie (wliczało się w to jeszcze piwo i 12% obowiązkowego napiwku za obsługę) zapłaciliśmy 200 000 UZS, czyli ok. 70 zł (po 35 zł/os., gdzie u nas w restauracji na podobnym poziomie nie objęłoby to prawdopodobnie ceny nawet jednego takiego dania głównego).

Otoczenie stolików w ogródku restauracyjnym (fot. NJ)

Po kolacji Zafar podwiózł nas jeszcze do marketu, gdzie mogliśmy zaopatrzyć się w prezenty dla rodziny i znajomych w postaci uzbeckich alkoholi czy słodyczy.

Do hotelu dotarliśmy ok. 22^{00}. Zaraz po wejściu przeżyłam chwile grozy, ponieważ jeszcze w restauracji odniosłam wrażenie, że w plecaku nie mam teczki z dokumentami. W hotelu upewniłam się, że faktycznie tak jest. Nie miałam pojęcia, co też mogło się stać i w głowie nakreślił mi się scenariusz, że być może zostawiłam go gdzieś w tych górach… Byłam lekko roztrzęsiona. Poszłam jeszcze sprawdzić czy nie ma tej teczki w samochodzie i przy wielkiej uciesze okazało się, że rzeczywiście tam jest – leżała w bagażniku. Niezupełnie wiedziałam jak do tego doszło, ale poczułam ogromną ulgę. A śmiałam się wcześniej z Arka, który tego samego dnia również zapodział dokumenty tylko gdzieś w plecaku.

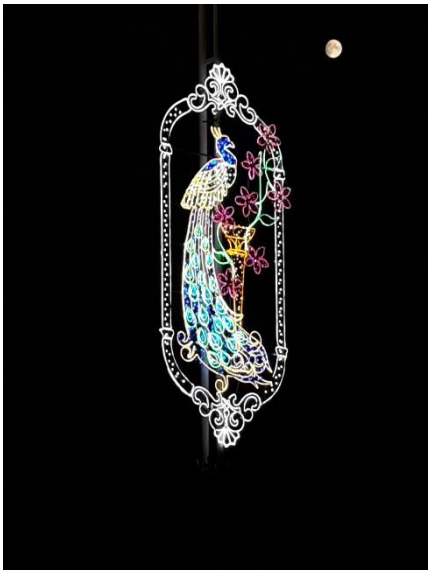

Ciekawe iluminacje świetlne w mieście (fot. NJ)

Dowód na szeroki zasięg eksportu polskich wyrobów spirytusowych (fot. NJ)

Po odnalezieniu zguby poszliśmy jeszcze z Łukaszem i Arkiem do sklepu w pobliżu hotelu, gdzie, ciekawostka, w ofercie była nasza polska żubrówka. Była biała i ta z trawą również, o różnych pojemnościach, ale dość droga. 0,5 l kosztowało 140 000 UZS, czyli ok. 50 zł.

W naszym pokoju (pokoju dziewczyn) odbyliśmy jeszcze spotkanie podsumowujące wszystkich uczestników wyprawy. To był wspaniały wyjazd i bardzo udana, zgrana ekipa. Posiedzenie nie trwało długo, ponieważ było późno. O 4^{00} mieliśmy wyjechać z hotelu, a jeszcze nie wszyscy spakowali się czy nawet zażyli wieczornej toalety. Z tą kąpielą też była przygoda, ponieważ w niektórych pokojach brakowało momentami wody. Najgorzej było, gdy z pianą na głowie chciałam spłukać włosy, a w kranie usłyszałam tylko szum i bulgotanie. Na szczęście po paru minutach cierpliwości pojawiła się woda.

Natalia Juszczak

Dzień 14. – 21.08.2021 (sobota)

Niestety, to już ostatni dzień naszej wielkiej przygody. Po bardzo krótkim śnie, gdyż zasnąłem dopiero ok. 1^{30}, a obudziłem się o 3^{30}, nadszedł czas na dopakowanie wszystkich rzeczy oraz wyruszenie w ostatnią drogę w Uzbekistanie – na międzynarodowe lotnisko w Taszkencie.

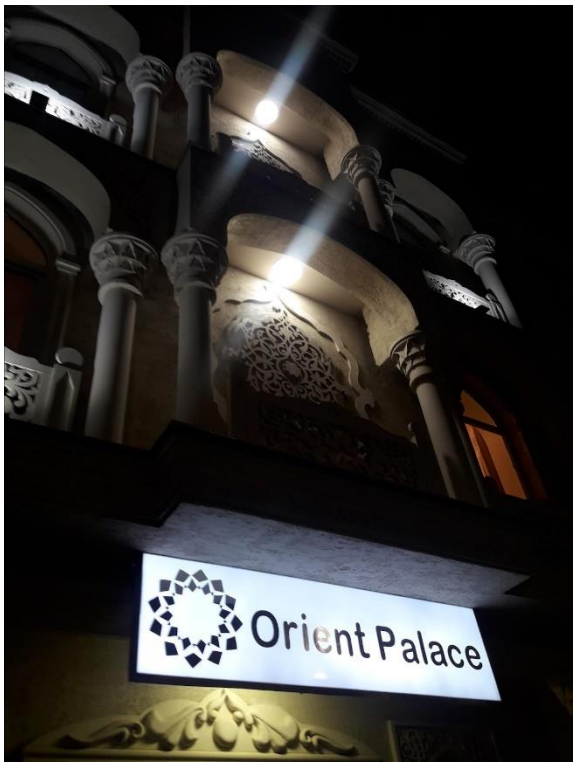

Miejsce naszego noclegu w Taszkencie (fot. NJ)

Przy pomocy naszego kierowcy Zafara trafiliśmy na miejsce i pożegnaliśmy się z zaprzyjaźnionym szoferem. Niewyspani czekaliśmy na nadanie bagażu oraz odprawę przed lotem. Wszystko obyło się bez większych kłopotów, aczkolwiek na miejscu czekało na nas kilka zaskakujących rzeczy. Po wejściu na strefę odlotów, w toalecie przywitała nas jedna wielka chmura tytoniowego dymu. Było to dla nas o tyle zaskakujące, że w Europie w takich miejscach panuje kategoryczny zakaz palenia. Podczas gdy w całym kraju ciężko było spotkać palaczy, tak w tamtym miejscu było ich multum. Nasz odlot w kierunku Stambułu był lekko opóźniony, jednakże nie martwiło nas to bardzo, gdyż na przesiadkę w Turcji mieliśmy ponad 5 godzin. Przy wsiadaniu do samolotu, na bramkach czekało nas kolejne zaskoczenie. Ludzie wchodzący do samolotu wnosili ze sobą dużą ilość owoców, wiaderka z winogronami, melony w transporterach dla zwierząt. Najbardziej wryła mi się w pamięć kobieta, która niosła melona obwiniętego taśmą klejącą i zrobioną z niej rączką. Sam moment startu umknął mi,

gdyż zapadłem w błogi sen. Przy lądowaniu w Stambule usłyszeliśmy w samolocie gromkie brawa, choć podobno jest to domena Polaków. Długi czas oczekiwania na samolot spędziliśmy na zwiedzaniu potężnego stambulskiego lotniska, rozmowach, uzupełnianiu dzienniczka czy oglądaniu filmów, seriali lub słuchaniu muzyki.

Widok z tarasu widokowego na lotnisku w Stambule (fot. AS)

Około godziny 16^{00} weszliśmy na pokład samolotu linii lotniczych LOT w kierunku Warszawy. Po dwóch godzinach w powietrzu ujrzeliśmy znajomą, polską ziemię. Przy odbiorze bagaży przeprowadziliśmy między sobą krótką rozmowę, w trakcie której podziękowaliśmy sobie za udany i bezpieczny wyjazd oraz dzieliliśmy się spostrzeżeniami i wrażeniami. Następnie rozdzieliliśmy się na dwie grupy. Jedna jechała pociągiem w kierunku Krakowa, druga busem do Rzeszowa. Zmęczeni, choć pełni wrażeń i nowych doświadczeń udaliśmy się do naszych domów, z nadzieją na więcej tak udanych wyjazdów w przyszłości.

Arkadiusz Sadecki